

KARNAWAŁ TEATRALNY.

W Zakopanem jest karnawał zimowy. Reduta wschodnia. Taniec wśród nart. Szał właścicieli pensjonatów. Goście zbliska i zdaleka pozdrawiają się na sposób orjentalno-narciarski: „Slalom aleicum“.

Inne zdrojowiska zezują z zazdrością w stronę Zakopanego. Rabka urządza biegi pięciolatków. Krynica skoki matek (t. zw. „seitensprungi“), a Truskawiec zjazdy starszych panów. Ale, jak powiedział pewien wybitny filozof — to nie jest to. Prawdziwy karnawał jest tylko w Zakopanem.

Karnawał. Zapustny i rozpustny książę z dalekiej Wenecji. Wiecznie młody Casanova. Cóż, kiedy stał się już tylko cieniem siebie samego. Ludziska ostatni grosz wydają na narty, potem w ciężkich buciarach tańczą na popołudniowym dancingu, a wieczór idą spać. I to ma być karnawał? Ach, gdzież są owe czasy, gdy młode dziewczę z serduszkciem opancerzonem fiszbinami szło na bal w glorii swych ośmnastu lat i w nadziei, że spotka tam jakiegoś ordynata Michorowskiego, który skłoni nienagannie uczesaną głowę i wyszepce: „Ty, albo żadna“. I weźmie ją sobie na całe życie, jak zegarek Omega, lub Schaffhausen.

Czasem ordynat nie zjawiał się i wtedy trzeba było zaczynać odnowa. A ciotki siedzące na kanapach sali

balowej mówiły sobie zjadliwie na ucho: „Już czwarty karnawał froteruje posadzkę, żeby złapać męża! Prostu szkoda zelówek“!

Ale teraz wszystko się zmieniło i bale przestały być wielkiem targowiskiem małżeńskim. Tylko ciotki się nie zmieniły i opowiadają sobie w dalszym ciągu, że Marysia aplikuje w sądzie, a Zosia asystuje w szpitalu. „Grosza im za to nie płacą, moja pani, ale te dzisiejsze panny wzięły się już na takie sposoby, żeby męża złapać!“

Z łezką rozrzewnienia w oku stwierdziłam przed kilkoma dniami, że w recenzji z Balu Prasy zaliczono mnie w poczet pięknych i gustownie ubranych panien na wydaniu. Mój Boże, a ja sądziłam, że zdołałam się wyłamać z gablotki zegarmistrza. Ostatecznie jednak żaden zawód nie hańbi, a ten paniński jest przecież złożony z bardzo licznych zawodów... sercowych. Pozatem panny są obecnie w modzie. Mężatki się podobno już zupełnie skończyły. A trójkąty małżeńskie nie bawią już nawet wujaszka z prowincji.

Dawniej sztuka teatralna robiąca kasę musiała się nazywać „*Madame X*“, albo „*Madame ne veut pas d'enfant*“. Dzisiaj sztuka także nazywa się „*Mademoiselle*“, albo „*Kobieta, która kupiła sobie męża*“, czy też dała ogłoszenie matrymonjalne do „Kurjerka“. Jednem słowem, aby sztuka szła, musi mieć za bohaterkę — pannę. Może być i z dzieckiem. Dowodem tego — teatry warszawskie.

Jeśli wogóle istnieje dzisiaj jakiś karnawał, któremu warto się przyjrzeć, to chyba karnawał teatralny. Pan Pawłowski prowadził bal i wyprowadził część członków Z. A. S. P.-u na dziady. Zjawisko zupełnie paradoksal-

ne, to szerzące się w przeraźliwy sposób bezrobocie wśród aktorów, podczas gdy równocześnie co drugi dzień powstaje nowy teatr w Warszawie. W byle budzie, gdzie była dotychczas magiel korbowa, otwierają jakiś nowy kabaret. Ale to nie przeszkadza bardzo wielu aktorom — głodować.

Bo Warszawa uznaje tylko gwiazdy. — Gromadzi je namiętnie, szpikując sztuki samymi asami, tak iż z nadmiaru rodzyneków robi się potem zakalec. Wabi ich szychem świetnych płac i kontraktów. Stąd zupełne wyludnienie prowincji z lepszych sił aktorskich. W przeciwieństwie do maksymy Cezara, wolą być ostatnimi w Warszawie, niż pierwszymi na prowincji. I oto mamy w stolicy licytację gwiazd — a na prowincji teatry nieznanego aktora.

Robi się z tego jedno wielkie, błędne koło. Teatry prowincjonalne montują poważny, koturnowy repertuar i dopiero w ostatniej chwili zadają sobie pytanie: „Tak, ale kto to będzie grał?“ W stolicy natomiast wypychają na scenę okropne sztuczydła z uśmiechniętymi hrabinami, do których odkomenderowują kilkadziesiąt pierwszorzędných sił aktorskich. Niewiadomo po co i na co. Modzelewska do operetki, Halama do komedji. Banda w Teatrze Polskim — Teatr Polski w Bandzie. W rezultacie leżą sobie wzajemnie we włosach.

A publiczność się krzywi. Miał jednak rację Petronjusz, nieprześcigniony arbiter: „Sto nagich kobiet, o Cezarze, robi mniejsze wrażenie, niż jedna“! Publiczność nie strawi mimo wszystko słabych sztuk naszpikowanych gwiazdami. A znowuż z drugiej strony trudno wystawiać wspaniałe dramaty wielkiego repertuaru — siłami dyletanckimi. Dlatego teatry na prowincji stoja

na tak wysokim poziomie — że się wszystkie zaraz kładą.

Trzebaby zrobić jakiś porządek z tą dysharmonją aktorów i repertuaru.

Chyba najjaskrawszym dowodem nienormalnych stosunków teatralnych jest upadek teatru Polskiego w Poznaniu. Teatru, który był tak długo, więcej niż teatrem, bo placówką. Czy winną jest tutaj publiczność? A jednak nie widziałam nigdy wdzięczniejszej publiczności nad poznańską. Tak szczerze śmiejącej się na komedjach i tak rzewnie płaczącej na dramatach! Czyżby ta publiczność zapomniała zupełnie o swoim teatrze, w który taki zasób pracy włożyli Młodziejowska i Szczurkiewicz? Nie wierzę.

Bo jednak ludzie kochają teatr. W tych tragicznych czasach kryzysu i braku pracy, chcą mieć — zupełnie, jak w chyłącym się do upadku Rzymie — *panem et circenses*. Tęsknią za dobrym, tanim, dostępnym dla wszystkich teatrem, jak za chlebem powszednim.

Twierdzono powszechnie, że gadający film zabija teatr. Tymczasem skutki okazały się wręcz przeciwne. Publiczność zmęczyła się szybko temi lekcjami obcych języków w kinie. Nie lubi, gdy jej każą się domyślać, że jak Maurice Chevalier powiada: „że tem“, to oznacza to, iż kocha! I nie chce już słuchać, jak Ramon Novarro śpiewa hiszpańskie piosenki — po angielsku. A co się tyczy filmów polskich, to te z pewnością nie są groźną konkurencją, zwłaszcza, gdy po patriotycznych kozacko-ulańskich dramatach przyszły jeszcze przeraźliwsze komedje oparte na „szmoncesach“ i ciąglem przekręcaniu polskiego języka. Nie można się dziwić publiczności, jeśli tęskni potem do teatru.

A dyrektorzy teatrów? Ci są w wiecznem poszukiwaniu sztuki kasowej i zwalają całą winę balaganu teatralnego na autorów dramatycznych. Że to autorzy polscy nie piszą dobrych sztuk, w których byłby i poziom i erotyka, trochę modernizmu i trochę patryjotyzmu.

Czyż można się dziwić, że wobec tego zabrali się do pisania sztuk — malarze. Może to jest pokłosie zeszlórocznych uroczystości ku czci Wyspiańskiego, który potrafił scenę krakowską ozdobić najświetniejszymi barwami swej palety. Nie wiem... Ale doszły mnie słuchy, że teatr Słowackiego zaakceptował już trzy akty pełne swawolnej pikanterji i kolorytu lokalnego spółki Weiss i Schwarz. Następną premjerą ma być wielkie widowisko ludowe ze śpiewami i tańcami pt. „Krakowiacy i Huculi“ pendzla i pióra Wodzinowskiego i Si-chulskiego. Będzie także wystawiony „Młody las“ w nowem opracowaniu Stefana Filipkiewicza, z dekoracjami Mieczysława Filipkiewicza. Mówią też, że Pautsch chce prześcignąć Bunscha i pisze sztukę: „Samochoód“. Ale może to są tylko plotki?

Ponieważ jednak nigdy niewiadomo na co komu przyjdzie, postanowiłam zapisać się na Akademię Sztuk Pięknych. I mam już nawet tremę przed egzaminami u wymienionych profesorów. Ale może Bóg da, że się „fuksem“ wykręcę!